

ŚWIAT

Nr 32

6. VIII. 1938

CENA 1 ZŁ



w n u m e r z e:

L. CHRZANOWSKI
NIEZROZUMIAŁA
TAJEMNICA

■
POŁÓW PERŁ

■
W. RAJKOWSKI
POLSCY UCZENI
W KRAJU FARAONÓW

■
WIEŚ NASTRAJA
LIRYCZNIE

(Rysunki M. Wajchtówny)

■
KAZIMIERZ SAS
URLOP HUBERTA GARDY
(p o w i e ś ć)

■
WŁADYSŁAW KROGULSKI
DZIEJE TEATRU W POLSCE

■
T E A T R, F I L M

W tym numerze kupony
ulgowe do Teatrów:

Malickiej i «8.15»

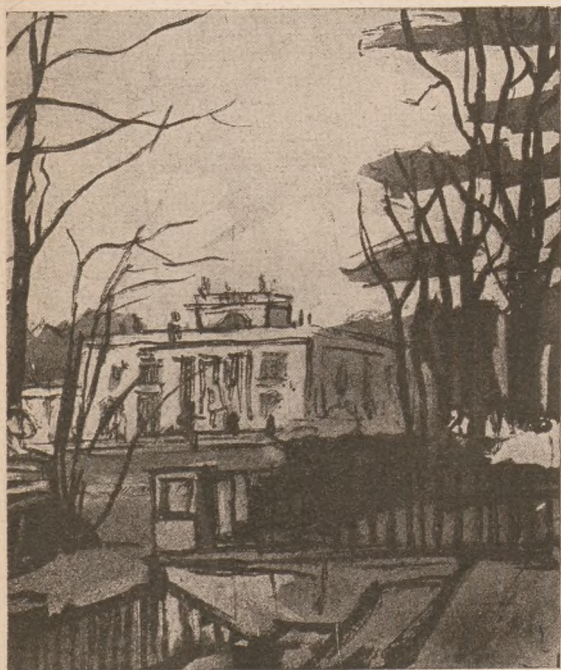
Mieczysława Ćwiklińska czaruje
publiczność warszawską, w do-
skonalej komedji Caillaveta i de
Flers'a p.t. „Zielony frak”

MYDŁO
ALKALICZNE
Karpińskiego

*dla osób z cerą nasyconiającą
złotona do węgier*

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXXIII Nr. 32
6. VIII. 1938



Pałac w Łazienkach

Byli królowie lepsi i gorsi. Bohaterscy i nieszczęśliwi. Byli bohaterowie poważni, czczeni, z których naród był dumny, którym teraz wykazuje się ich małość i rzekomą nicość. Wielkim się przycina piedestał. To świadczy czasem o niezależności krytyki. Nie zawsze. Czasem są to dziwne pomyłki. Stosunek do królów bywa więc różny. Jedno jest tylko pewne w okresach, przez wieki całe, kiedy polityka i wola narodów pieczętowała się imionami królów i całych dynastji, stali się oni niejako obliczem narodu w danej epoce, tytułem rozdziału historycznego, byli i są naszą przeszłością.

Bywają pradziadkowie utracjusze, bywają bitni żołnierze, napoleońscy, powstaniowcy, bywają tylko heroldowie ładu, lub źli gospodarze, dobrzy panowie - bankruci i nieużyte kutwy. Ale to są prapradziadkowie, dziadkowie, przeszłość! Można stworzyć swoją

L. CHRZANOWSKI

Niezrozumiała tajemnica

teraźniejszość, przyszłość swoją, przeszłości się nie wybiera. Owszem, są pewne kategorie dorobkiewiczów, co „portretu dziadusia” szukają i dobierają sobie na ścieżce Krzyskiej ulicy. Ale dla takich, co wstydząc się dziadkamłynarza, lub gajowego, lub zwykłego robotnika, szukają sobie „antenatów”, mamy tylko grymas drwiny.

Naród nie potrzebuje zamazywać, wstydzić się lub ukrywać swej przeszłości — każdy naród miał upadki i wzloty. Tymbardziej więc niezrozumiała jest tajemnica jaką otoczono nagle jeden z fragmentów naszej przeszłości — króla Stanisława Augusta i jego niespodziewany powrót do Ojczyzny.

Co oznacza cała ta historia? Zwłoki królewskie zjawiają się na granicy i sprawiają kłopot. Nic nie przygotowano. Nie wiadomo, gdzie je skierować. Martwią się wyżsi urzędnicy administracyjni. Wreszcie „tajemnicza skrzynia” skierowana zostaje do miejsca urodzenia. Pięknie tam, ubogo, samotnie i na uboczu — jak opisuje specjalny wysł. „Kurjera Warszawskiego” Ant. Bogusławski. I znów sekrety. Zwłoki królewskie zamurowane w nawie opuszczonego, zbiedzonego kościołka. Przedstawiciel jednego z największych pism naszych nie może nawet trumny zobaczyć!

Tajemnica. Dwa klucze bronią dostępu do trumny. Jeden u nieobecnego proboszcza, drugi aż w województwie. Schowana trumna — pochowany

król. To ma być miejsce ostatniego spoczynku króla, któremu zawdzięczamy 50%, jeśli nie więcej, tego co jest wartościowe artystycznie w Warszawie! Jakżeby wyglądała stolica bez jego artystycznej, kulturalnej, moźnej inicjatywy? Wielki urbanista, esteta najpierwszej wody, twórca Łazienek, tego na miarę największych stolic zakrojonego parku, który stał się artystyczną dzielnicą Warszawy. Inspirator i kierownik artystyczny wielu tak wspaniałych fragmentów Zamku Królewskiego, jak sale: Balowa, Tronowa, Ryckerska. Jednym słowem król, z którego imieniem związana jest najwspanialsza epoka artystyczna stolicy i państwa, powrócił do kraju dzięki czterowierszowej wzmiance Pata. Bo przedtem choć już był na ziemi polskiej od dwóch tygodni, nikt o tym nie wiedział.

Czemuz ten sekret? Tajemnica? Skandal — wołają jedni, gdy inni tylko oburzają się słusznie. Ale to jeszcze choć w części można naprawić. A jedyną drogą naprawy, to sprowadzenie zwłok królewskich do Warszawy, którą upiększył i na wysokim poziomie artystycznym postawił. Nie w historycznie z urodzeniem króla związanej zapadłej wiosce — ale w stolicy. W Łazienkach przezeń stworzonych, którymi chlubiemy się i które wielokrotnie reprezentują piękno stolicy, spocząć winien ich Twórca, król - artysta — Stanisław August.

P O Ł Ó W

Charakter anglików

Z okazji wizyty angielskiej pary królewskiej cała Francja interesowała się żywo wszystkim co angielskie: więc i charakterem anglików. André Maurois, który zna Anglię doskonale, naszkicował swe uwagi na ten temat: uwagi które mogą być ciekawe nie tylko dla francuzów.

*

Anglik się nigdy nie chwala.

Poznawszy cię, zaprasza do siebie na wieś. Mówi: „Mam tam skromny domek“.

Przyjeżdżasz — i zastajesz zamek o trzystu pokojach.

*

Anglik jest dyskretny. Uprawia też pruderję.

W ogrodzie zoologicznym jakaś pani zapytuje dozorcę:

— Czy ten hipopotam to samiec czy samica?

Dozorca patrzy na damę z wyraźną dezaprobatą i wyjaśnia:

— Ta sprawa, proszę pani, może interesować tylko drugiego hipopotama.

*

Anglik jest punktualny do szaleństwa.

Gdy jesteś zaproszony na kolację, wchodzisz do angielskiego domu z wybiciem oznaczonej godziny. Ani o minutę wcześniej, ani o minutę później. Pani domu nigdyby nie przyszło do głowy czekać na spóźniającego się gościa. Każdy rozumie, że jeżeli się nie zjawił, to albo o zaproszeniu zapomnieli — albo — *umarli*...

*

Ach, westchnie niejedna z naszych pań — żebyż tak u nas!

O małżeństwie

Balzac tak zdefiniował małżeństwo: „Jest to walka do ostatniego tchu, przed którą walczący oboje proszą Boga o błogosławieństwo; gdyż zamiar kochania się do śmierci jest najbardziej warjackim przedsięwzięciem, jakie sobie wogóle można wyobrazić“.



P E R E Ł

Demagogia

Rząd nasz po długich i ciężkich rozmyślaniach doszedł chwała Bogu nareszcie do wniosku, że w swej ocenie kryzysu miało u nas rację społeczeństwo: rząd uznał, że głodowanie trzech czwartych ludności i praca tej ludności poniżej minimalniejszej opłacalności — to są warunki nienormalne, które rujną nie tylko daną klasę społeczną (rolników). Rujną one naturalnie cały naród. I rząd, zrozumiawszy to w końcu, odważnie poszedł do parlamentu z ustawą, usiłującą chociaż w części podtrzymać grożące spadkiem ceny płodów rolnych.

Rządowi przyklasnęli wszyscy przytomni ludzie w Polsce. W Sejmie też. Znalazł się tam wprawdzie jakiś demagog — (a może nawet dwóch?) — który określił ustawę jako „antyspołeczną“. Li czył zapewne pan poseł na łatwe sukcesy: spotkał go jednak zawód. Argument, że ustawa godzi w sfery najbiedniejsze, upadł: minister Kwiatkowski dowiódł na podstawie statystyki, iż niska cena zboża osiągnięta przez rolnika — wcale nie idzie w parze z ceną chleba: miasto płaci za chleb prawie to samo, czy zboże jest tanie czy drogie. Różnicę połykają... szczury. *Społeczne szczury*. Pośrednicy.

A rolnik? Rolnik przez szereg lat sprzedawał płody swej ziemi i swojej pracy — poniżej kosztów własnych. Dokładał do każdego kwintala sprzedanego żyta. Czyli — powiedzmy to raz jasno — żywił miasta darmo. Sam głodując, nota bene.

Tego pan poseł wcale nie zauważył?

Pedagogia

Pewien hurtowy handlarz owocami południowymi gra w 66 ze swym 8-letnim syneczkiem, który odznacza się niezwykłą... obrotnością, zwłaszcza w zakresie zagłędania ojcu w karty.

— Przecież widzę, że mnie oszukuje — stwierdza pocichu ojczulek do swej połowicy, przyglądającej się zabawie — ale rozumiesz, nie będę dziecku przeszkadzał: niech nabiera wprawy...

Podobieństwa i kontrasty

Wiadomo, że bolszewizm i hitleryzm — to dwa bieguny polityczne, to wrogowie śmiertelni. Tak nam się to do wierzenia podaje. Hm... Proszę:

Czeskie pismo „Venkow“ zamieściło, jak czytamy w „Kurjerze Polskim“, taką informację:

„Obywatel czechosłowacki, arijszyk, miał w Wiedniu *willę z ogrodem*. Pewnego dnia władze zawiadamiają go, że nieruchomość jego podlega wywłaszczeniu ze względów państwowych. Obywatel chcąc nie chcąc zgadza się z tą decyzją i żąda za willę i ogród kilkadziesiąt tysięcy marek.

Władza nie przyjmuje tej oceny. Zjawia się *urzędowy taksator*. Po obejrzeniu willi i ogrodu pan taksator *ocenia całą nieruchomość na 2½ marki* (dosłownie dwie i pół marki!). Następnego dnia właściciel willi otrzymuje *zaświadczenie, że skarb państwa nabył jego nieruchomość za wymienioną sumę*“.

Więc co?

Nic, tylko nie wiem czemu nagle zamiast „zachodniego“ przypomniał mi się „wschodni sąsiad“. Ideologie ich są przecież, jakżeby, oczywiście na dwóch biegunach. Krańcowo sprzeczne.

Natomiast metody...

Bez złudzeń

Voiture powiedział kiedyś, po dłuższym zastanowieniu nad sprawami ludzkimi: „Los sprzedaje nam zwykle bardzo drogo to wszystko, co skłonni jesteśmy uważać jako jego dary“.

Kłopotliwy skarb

Jak czytamy w prasie angielskiej, zdobyte krwawym wysiłkiem ziemie Abisynji nie stały się, jak dotąd, dla państwa włoskiego ziemią obiecaną: „obiecane“ pozostały dotychczas tylko korzyści... w sferze marzeń. A rzeczywistość?

Oto ona. Od czasu zakończenia wojny wyjechało z Włoch do Abisynji 196 tysięcy ludzi, zamierzając się tam osiedlić na stałe. Z tego trzy czwarte, około 150 tysięcy, już wróciło do ojczyzny, zniechęciwszy się nader szybko do „ziemi obiecanej“.

Kolonizowanie kolonii nie jest łatwe, wiadano to już dawno.

Słodki ciężar. Bardziej może ciężki niż słodki.

Dwa Bernardy i muzyka

G. B. S., onże Bernard Shaw, zna się świetnie na muzyce: przez szereg lat był krytykiem muzycznym. Na jakimś koncercie niecierpliwi się strasznie, gdyż skrzypek fałszuje bez miłosierdzia. Shaw nachyla się do swej sąsiadki i szepcze:

— Czyż ten grajek nie słyszy, że fałszuje?

— Pewno że nie — odpowiada sąsiadka, — bo on jest głuchy.

— To możebyśmy mu zrobili znak, że już skończył?

*

Równie nieprzejednany potrafi być inny Bernard, francuski humorysta Tristan Bernard. Zaproszony na wieczór prywatny „z muzyką“ cierpi męki, słuchając jakiejś domorosłej mandolinistki. Po trzech kwadransach tych udręk zbliża się do niego pani domu i zapewnia:

— Wie pan, to bardzo trudno grać na mandolinie.

— Ach, pani, wolałbym żeby to było wogóle niemożliwe! — odpowiada najspokojniej Bernard.

Chwała Bogu

Jak podała prasa, Ozon ustalił, po długiej męce rodzenia... model znaczką organizacyjnego!

Odetchnął kraj, odetchnęła stroskana ludność: jest już znaczek — teraz wszystko pójdzie jak po maśle.

Inne drobne szczegóły, jak np. program działania, przyjdą same.

Mamy znaczek — to grunt!

Teoria i praktyka

Municypjum Paryża wydało kiedyś wielki bankiet na cześć wielkiego uczonego, Pasteura. Proszony o powiedzenie paru słów do zebranych gości, Pasteur wstał przy deserze i przemówił na temat szkodliwości zaniedbań w dziedzinie higieny; podkreślił zwłaszcza konieczność dokładnego mycia owoców przed spożyciem. W razie przeciwnym (zapalił się znakomity uczone) ludzkości grożą nieobliczalne skutki w postaci najstraszliwszych infekcyj.

Dla poparcia czynem swoich słów, Pasteur nalał sobie wody do szklanki i pedantycznie w niej wymył winogrona.

Poczem usiadł, zmęczony przemową.

I, aby się ochłodzić — wypił jednym tchem ową wodę.

Plajta „Propagandy Państwowotwórczej“

Czytelnicy moi, obdarzeni dobrą pamięcią pamiętają może, że przed jakimś czasem uśmieliśmy się na tem miejscu zdrowo z takiego przedsięwzięcia, które nosiło nazwę imponującą: „Instytut Propagandy Państwowotwórczej“. Podkreślało się tu wówczas rażący nonsens tej nazwy, zwłaszcza w zastosowaniu do *firmy prywatnej*, jaką była ta *spółka z ograniczoną odpowiedzialnością*.

Kiedyśmy się wtedy owym szumnym Instytutem zainteresowali, przyleciał do redakcji „Świata“ jakiś bardzo rozgoryczony i nawet groźnym tonem przemawiający jegomość, podający się za kierownika owej zagadkowej instytucji. I domagał się odwołania, sprostowania, czy Bóg wie czego jeszcze, grożąc „skutkami“. Niczegośmy, ma się rozumieć, nie odwołali, i żadnych „skutków“ ma się rozumieć nie było. Pan ów wyładował tylko swoje zdenerwowanie, sądząc, że trafi na tchórzy albo ignorantów.

Pozostaliśmy wówczas utwierdzeni właśnie jeszcze silniej w mniemaniu, że ta szumna, oficjalna, niemal urzędowa nazwa pokrywa jakąś zagadkową działalność, może niekoniecznie dla milej ojczyzny niezbędną.

I cóż powiecie?

Oto „Monitor Polski“ ogłasza teraz w imieniu *likwidatora firmy* „Instytut Propagandy Państwowotwórczej“ (sp. z o. o. w War-

szawie), że wierzyciele owej firmy mają się zgłaszać ze swemi pretensjami itd., itd. w terminie prawnie przepisany, itd.

Kłapa, jednym słowem. Plajta.

Jak było do przewidzenia.

Pozostaje jednak otwarte dotąd pytanie: kto dał *prywatnej* firmie z o. o. pozwolenie na noszenie tak pompatycznego tytułu? Takiego tytułu, który wobec naiwnych mógł nadawać *prywatnej* firmie pozory urzędowe?

Pytanie to, acz otwarte — pozostanie przypuszczalnie bez odpowiedzi.

Konkursy literackie

Niesamowita, godna zazdrości, jest istniejąca obecnie we Włoszech ilość nagród literackich i wszelkiego rodzaju konkursów. I nie trzeba przypuszczać, że to takie sobie „kapaninki“.

Oto San Remo, perła Riwiery, ustala doroczną nagrodę — 50 tysięcy lir, za sztukę sceniczną.

Jurorowie, po długich rozważaniach, przyznają tę poważną sumę młodemu, nieznanemu talentowi — (o to w nagrodzie chodziło) pani Renacie Mughini, za dramat „*I figli*“.

Pani Renata pieniądze wzięła. Dramat jakiś teatr natychmiast oczywiście wystawił. Poczem publiczność włoska — inteligentna, samodzielna i odruchowa, jak żadna inna na świecie — solennie nagrodzone arcydzieło wygwizdała.

Drobne potknięcia sądów literackich, cóż robić...

Chińska uprzejmość

„Wiadomości Literackie“ podały za „Nouvelles Littéraires“ tekst listu, w którym redakcja jednego z pism chińskich donosi młodemu pisarzowi kantońskiemu o odrzuceniu jego pracy. List ten zredagowany jest jak następuje: „Byliśmy zachwyceni po przeczytaniu rękopisu Pana. Przysięgamy na prochy naszych przodków, że nigdy nie czytaliśmy nic równie wzniosłego. Perły literackie tego rodzaju znajduje się zaledwie raz na tysiąc lat. Gdybyśmy ogłosili ten tekst w naszym skromnym piśmie, nigdy nie odważylibyśmy się zamieścić jednocześnie innych utworów, gdyż byłoby dla nich rzeczą niemożliwą wytrzymać porównanie z utworem tak wybitnym. Dlatego pozwalamy sobie zwrócić go Panu“.

Pozazdrościli

Panowie paniom pozazdrościli! Nie siły, nie inteligencji, nie praw politycznych, nie władzy: wiadomo, że tego wszystkiego „pan stworzenia” ma więcej niż tak zwana „pleć słaba”. Pozazdrościli więc damom — swobodnych toalet. Oni też chcą od dzisiaj ubierać się lekko, przewiewnie, w żorżety, muśliny, krepdeszyny, falbanki, i inne jak mawia pewien mój znajomy, „gipiury”.

Proszę bardzo — któż im broni?

Przypuszczam, że nikt. Tylko poprostu — wstydzą się. Boją się — śmieszności. Więc dla kurażu, że niby „kupą, Mości Panowie” — postanowili się zrzęczyć!

I założyli — proszę nie „pęć” ze śmiechu — założyli „Towarzystwo Reformy Stroju Męskiego”.

Gdzie? Oczywiście w Warszawie. Pod innymi szerokościami geograficznymi ludzie miewają inne kłopoty.

Ale warszawianki czytają tę wiadomość w prasie i szaleją z radości.

Bo one dla siebie już dawno ten „problem” rozwiązały. Bez żadnych zarejestrowanych stowarzyszeń, bez szumnych haseł, bez „kupą Panowie”.

Prostą z pomocą odrobiny gustu, fantazji, i skromnej szwaczki.

Milcząca demonstracja

W krajach, w których nie wolno mówić, pisać, rysować karykatur — głos narodu wypowiada się symbolami. Czasem zupełnie bezgłośnie — jednak mającymi swoją dobitną wymowę.

U „zachodniego sąsiada” przed kilku miesiącami dokonano dokładnych „porządków wewnętrznych” w szeregach wyższych rang wojskowych. „Poszedł” wtedy jeden z najbardziej zasłużonych generałów, Fritsch. Pod naciskiem kół wojskowych został jednak w jakiś czas potem przywrócony do czynnej służby. Dziś, jak czytamy w „Gońcu Warszawskim” — dla uczczenia tej chwili, cały niemiecki korpus oficerski przystąpił do zbierania składek na dar honorowy dla generała, który otrzyma od kolegów majątek ziemski.

Hm... Wiadomo. Armja — to wielki milczek.

Ale kiedy chce i jak chce i komu chce — powie wreszcie zawsze to, co chce...

Sicher ist sicher

Prezydent Roosevelt nie jest przesądny. Ale chwilami zastanawia się może nad zamachami, których szczęśliwie uniknął. Pierwszy z nich był w Miami, w roku 1933, kiedy strzelał do prezydenta emigrant włoski Zangara. Prezydent wyszedł cało, towarzysząc mu burmistrz Chicago został zabity.

Innym razem przesłano prezydentowi pocztą bombę. Ostatnio w czasie podróży jakiś szaleniec „chciał mu tylko uścisnąć dłoń”, a w parę dni potem inny znowu — „pragnął wyczyścić mu buty”.

To są nieuniknione ciernie wysokich stanowisk. Prezydent Roosevelt nie traci zresztą przez to ani równowagi ani dobrego humoru.

Zwłaszcza, że stale nosi przy sobie pewien talizman: stary, bardzo zniszczony portfel, który miał w kieszeni w dzień zamachu w Miami. Prezydent nie wierzy w zabobony, ale, jak powiada:

— Przesady — to głupstwa! Jednak zawsze lepiej się zabezpieczyć...

Grzeczny Feluś

U rodziców Felusia jest przyjęcie. Dziecku, choć ma dopiero lat pięć, pozwolono też usiąść do stołu, zapowiadając jednak, że ma być grzeczny, gości nie zanudzać, a zwłaszcza niczego się nie napięrać.

Feluś siedzi daleko, na samym końcu stołu, i służba, zajęta gośćmi, omija go obnosząc półmiski. Przez dłuższy czas Feluś znosi to z anielską cierpliwością. Wreszcie, jakgdyby nigdy nic, tonem najobojętniejszym, zwraca się do mamy:

— Mamusiu, dzieci które umrą z głodu idą chyba napewno do nieba?...



Przewodnik duchowy

Wzrosliśmy w przekonaniu, że kapłan każdej religii jest przewodnikiem duchowym swych współwyznawców: stąd jego powaga, znaczenie — a także ciężar odpowiedzialności. Okazało się ostatnio, że co do tego ciężaru tudzież odpowiedzialności poglądy mogą być rozmaite. Policja paryska przyłapała w tych dniach groźną szajkę przemytników narkotyków. Szefem bandy był... wielki rabin z Nowego Jorku, Izaak Leifer.

Jak obrotny Izaak wykonywał swe „dodatkowe” zajęcie?

Bardzo sprytnie: przysyłał narkotyki ukryte w specjalnie robionych podwójnych okładkach hebrajskich ksiąg do nabożeństwa.

Przezorny

W małym szkockim miasteczku burmistrz napróżno namawia najbogatszego obywatela, aby kupił odpowiednie do swej pozycji społecznej miejsce na cmentarzu. Burmistrzowi zależy na transakcji: finanse miasteczka wymagają podreperowania, a za przykładem tego bogacza poszliby zaraz napewno inni. Posyła się więc po raz dziesiąty wymownego delegata od zarządu miasta, aby skłonił opornego skąpca.

Delegat wraca z miną rzadką. Burmistrz pyta o rezultat. I słyszy odpowiedź:

— Odmówił. Wprawdzie miejsce na cmentarzu mu się podoba, ale on się obawia, że mógłby z tego miejsca nie skorzystać.

— Jakto? Czy ma zamiar żyć wiecznie? Asekurował się od śmierci?

— To nie. Ale powiada, że na przykład mógłby utonąć w morzu...

Schadenfreude

W Parku Ujazdowskim spotyka się czteroletni Franuś z pięcioletnim Jasiem.

— Czego jesteś taki kontent?

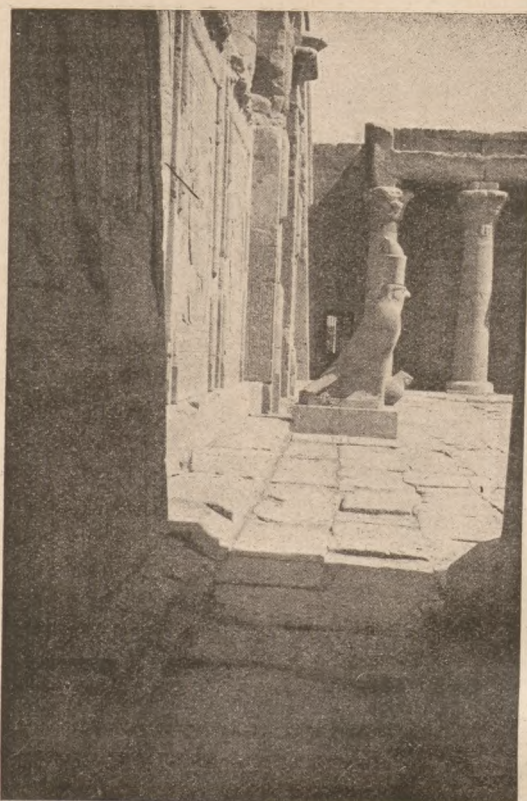
— Bo mnie tatuś wybił.

— I tego się tak cieszysz?

— Nie, nie tego: tylko tatuś goniąc mnie po mieszkaniu, wyrócił kałamarz i wylał atrament na nowy dywan... Co on teraz oberwie, jak mama wróci do domu!...

Uparty nurek'

POLSCY UCZENI W KRAJU FARAONÓW



*Posąg bóstwa słońca
w postaci sokoła*

Drugi to już raz uczeni polscy prowadzą prace wykopaliskowe na terenie Edfu w Górnym Egipcie. Zeszłoroczna wyprawa przyniosła poważne rezultaty, a przywiezione z niej znaleziska wystawione były w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Pracę przy wykopaliskach prowadzą uczeni polscy wspólnie z francuskimi. Kierownictwo spoczywa w rękach prof. archeologii klasycznej p. dr. Kazimierza Michałowskiego, z którym współpracują: prof. filologii klasycznej p. dr. Jerzy Manteuffel, pp. Sainte Fare i de Linage, członkowie Instytutu Francuskiego w Kairze oraz p. Arnold Czeczott asy-



Pochyłe ściany świątyni poświęconej Horusowi...

stent politechniki warszawskiej. Działem gospodarczym zajmuje się pani profesorowa Marja Manteufflowa.

Ekspedycja posiada obóz, złożony z drewnianego baraku i kilku namiotów, rozbity u stóp wielkiej, pochyłej nieco ściany świątyni ptolomejskiej, poświęconej bóstwu słońca, Horusowi, wyobrażonemu w postaci sokoła.

Teren prac leży nieopodal: na rozległym wzgórzu („kom“), wznoszącym się tuż poza murem otaczającym obręb świątyni. Zbocza „komu“ są posępnie czarne, składa się ono bowiem z „sebbachu“ — mieszaniny rozłożonych cząstek organicznych i piasku, pochodzącej przeważnie z obalonych murów miasta Apollonopolis, którego domy budowane były z suszonych na słońcu cegieł z mułu nilowego. Resztki tych starożytnych budowli, odkopane bądź przez uczonych polskich, bądź dawniej przez Francuzów, tworzą istny labirynt czarnych murów, krętych przejść między nimi, ciasnych korytarzy, które niegdyś były ulicami miasta. Na jednym z wierzchołków „komu“ widać stos przegniłych szmat i ludzkich kości, wydobytych przez dawnego kierownika robót M. Alliot'a w latach 1931 — 1933 ze starego (choć nie starożytnego) cmentarza, jaki niegdyś zajmował czarne stoki wzgórza.

Praca w Edfu jest o wiele uciążliwsza niż w innych miejscowościach Egiptu, gdzie ma się do czynienia z suchym, czystym piaskiem, nie zaś z tłustym, oblepiającym twarz, ręce i ubranie pyłem „sebbachu“. To też tam, gdzie prowadzone są obecnie roboty, wznosi się ogromny tuman czarnego kurzu niby chmura dymu nad wierzchołkiem wulkanu. Poprzez ten mroczny obłok przedziera się monotonny, zawodzący, rytmiczny śpiew robotników Fellałów. Pył „sebbachu“ osiada na ich twarzach, nakładając na nie nieruchome maski ujednastajniając barwę skóry jasnej u jednych, ciemnej u innych. Robotników jest około półtorej setki, a pozostają oni pod dozorem kilku Aarabów z Giza pod Kairem z pokolenia w pokolenie oddających się pracy przy wykopaliskach. Jedni z robotników usuwają szerokimi, ciężkimi motykami ziemię i zgarniają ją do płaskich koszów, inni — przeważnie kilkunastoletni chłopcy — odnoszą te kosze na bok (noszą je na głowach) i wysypują ich zawartość, powodując

wzbijanie się obłoków szarej kurzawy. Od czasu do czasu motyka zgrzytnie o jakiś przedmiot starożytny: posążek kamienny lub dzban gliniany. Robotnik rozgarnia wówczas ostrożnie ziemię i wydobyty przedmiot niesie tryumfalnie, czuwającemu nad przebiegiem pracy, profesorowi. Niekiedy w ciemnym pyłe migśnie coś barwnego: lśniąca skorupka polewanego naczynia, błękitny kamienny skarabeusz lub żółtawy dzbanuszek z alabastru. Odkrycie grobowca jest sensacją dnia. Grubymi drągami podważają robotnicy wielkie głazy i usuwają je złani potem, niby ich przodkowie z przed tysięcy lat, dźwigający złomy granitu do budowy piramid. Wszystkie serca uderzają mocno: a nuż tam obok sarkofagu lub we wnętrzu tegoż na żółtych kościach zabłyśnie złoto?...

Niestety ogromna większość grobów starożytnego Egiptu została już przed wieloma wiekami ograbiona doszczętnie. Jednakże i takie przedmioty, które łupieżcy pozostawili jako bezwartościowe dla nich — stale grobowe z rzeźbami i napisami, różne naczynia, posążki kamienne, zwoje papyrusu, są prawdziwymi skarbami dla archeologa, nieraz może większymi od złotych bransolet i naszyjników.

O godzinie 5-ej po południu praca się kończy. Na dźwięk gongu robotnicy zgarniają pozdejmowane podczas upału „galabije“ i zbiegają po stoku wzgórza, u podnóża którego skupiają się w zwartą gromadę do apelu, odbywającego się pod okiem p. prof. Michałowskiego. Apel polega na odczytywaniu listy obecności przez nadzorcę rządowego, ubranego w powłóczystą, czarną szatę i biały turban. Tych nadzorców jest kilku: kręcą się oni po terenie wykoplisk niby poważne cienie, czuwając nad robotnikami, aby ci nie zabierali potajemnie wykopanych przedmiotów, które następnie mogliby sprzedać handlarzowi strażytności.

Odczytywane z listy imiona powtarzają się ciągle w najróżniejszych kombinacjach: Muhamed Jusuf Ali, Ali Abd el-Latyf, Hamza Muhammed Jusuf i t. d. Wywołany odpowiada „Naam!“ (= „słucham! halo!“) i odłącza się od gromady, śpiesząc do domu. Starsi odpowiadają poważnie i odchodzą powoli, młodzi wykrzykują na całe gardło tym głośniejsze, im są mniejsi i mają piskliwsze głosy, poczem pędzą galopem, wymachując swymi koszami.

Od czasu do czasu przebywają do Edfu goście — najczęściej są to turyści uzbrojeni w Beodeckery i Kodaki, ubrani w potężne kaski korkowe z białymi muślinowymi welonami (przecież to Afryka!). Nieraz zaglądają tu archeologowie z „sąsiednich“ (odległych o sto kilometrów z okładem) terenów wykopaliskowych koło Luksoru. Złożył tu także wizytę francuski minister oświaty Jean Zay, odbywający podróż po Egipcie. Towarzyszył mu poseł francuski w Kairze de Witasse.



...Na dźwięk gongu robotnicy zgarniają pozdejmowane podczas upału „galabije“...

Prace ekspedycji dobiegają już końca i niedługo członkowie jej przybędą do Kairu, aby opracować rezultaty i przygotować sprawozdanie z przebiegu prac. Nie będzie to z pewnością łatwe i nieraz może



Ekspedycja rozbiła obóz, złożony z drewnianego baraku i kilku namiotów...

wspomną z żalem czarny „kom“, gdzie wprawdzie słońce prażyło i pył zgrzytał w zębach, ale gdzie za każdym uderzeniem motyki Fellaha w niebieskiej koszuli oczekiwało się jakiegoś odkrycia.



Na rozległym wzgórzu „Kom“, wznoszącym się tuż za murem, otaczającym świątynię, leży teren pracy...



Ogólny widok Kopenhagi — stolicy Danji.

Pada deszcz, zwykły brudny deszcz. Rozlewa się szeroko po asfaltowych jezdniach, skrzy się miliardami brylantów, płacze na szybach okien...

Kopenhaga mokra od deszczu, płacze po stracie kolorowego lata.

Na zlepionych, oślizgłych kamieniach w kopenhaskim porcie usiadła Maleńka Pani. Po jej zadumanej twarzyczce spływają łzy listopadowego deszczu i srebrzyste krople drżą na maleńkich pierśsiach.

Deszcz pada bez przerwy. W lustrzanej powierzchni asfaltów radośnie witają się neony. Powietrzne konkurencje — tu zgodnie ułożone obok siebie, śmiesznie połamane w plamy i zakrętasy, związane gąsienicami swych ciał, do zgonu, do rana.

Brudna, tłusta, lepka mgła wlecze się leniwie z portu, zaczepia łachmanami o latarnie i kościelne wieże, wciska się w ciasne uliczki, by ślimaczo wpełznąć do miasta.

Rozpływają się w tej mgle przyćmione światła neonów. Przechodnie zgarbieni, zmoczeni, gdzieś nikną, obcy sobie i dalecy. Tylko zegar na ratuszowej wieży poważnie odmierza czas.



Na ratuszowym placu, w orbicie interesów wielkomiejskich, dzieci karmią gołębie...

A. SZAFRANÓWNA

KOPENHAGA — MIASTO UŚMIECHU

Słońce szturmem zdobywa miasto. Pogoda — kapryśna, jak piękna kobieta, drwiąca i zmienna.

Tryumfalnie patrzą w niebo kominy parowców, złocą się krzyże kościołów, w przejrzystym błękitie kokieteryjnie przegląda się historyczna giełda. Srebrzą się w słońcu fale morskie, leniwie i pokornie kładą się do stóp Maleńkiej Pani. W tej powodzi światła uśmiech jej zdaje się być mniej tajemniczy i tęskny.

Na ratuszowym placu, w sercu miasta w orbicie interesów, finansów i pieniędzy dzieci karmią gołębie. Torebka ciepłych orzeszków drży w małej



Tak jakoś milej i weselej jedzie się ramię w ramię, gdy się jest młodym...

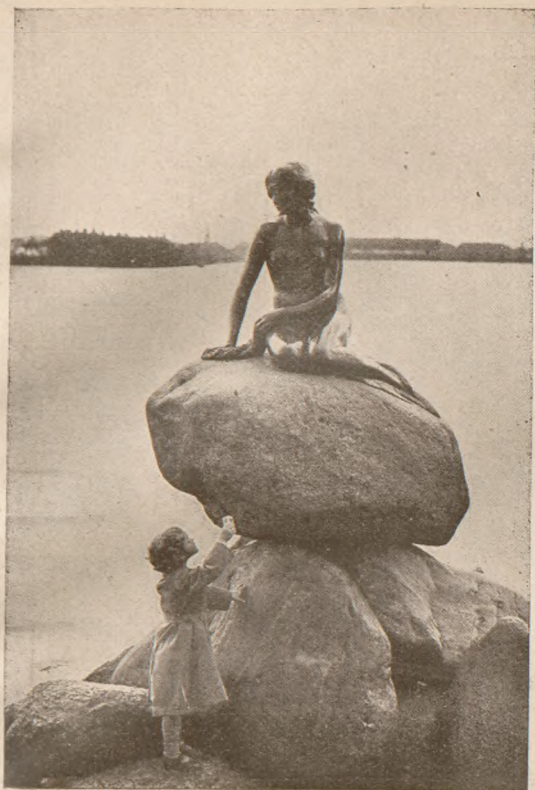
rażce, chwieje się i po chwili staje się żerem łakomych ptaków. I nie wiadomo czyj śmiech brzmi radośniej, czyja radość większa — dużego dobrodusznego grubego kupca, czy małych kupujących, czy chmary skrzydlatych obżartuchów.

Wszystko dziś upiękzone przez słońce, zda się cieszyć jakąś wielką beztroską radością.

Staremu listnoszowi w czerwonym uniformie, który na rowerze objeżdża miasto ulice wydają się o wiele krótsze, niż wczoraj. Zmarszczona i pofalowana wiekiem twarz śmieje się radośnie do słońca.

Tak jakoś milej i weselej jeździ się ramię w ramię, gdy słońce świeci, gdy się jest młodym, a świat jest wielki i piękny.

Nawet brzydki Vesterport, tragicznie smutny kolos z żelaza i brudnego szkła, oblepiony szkielecikami neonów, czy opleśniałe zielone dachy ratusza, czy w końcu złociste korony zamku Christiansborg — zdają się uśmiechać do siebie w blaskach słońca.



*Na zlepionych, oślizgłych kamieniach
w kopenhaskim porcie, usiadła Maleńka
Pani...*

Ta ogromna radość życia nie mieści się już na placu ratuszowym. Wzbiera, narasta, przelewa się i potężną falą napływa na Strojgt. Wąska ulica, najelegantsze magazyny, brylanty i szych, drogocenne futra, złoto i imitacje, luksus i tani blichtr. Wierne oblicze dużego miasta.

Domy obu stron przyjaźnie związane wieńcami, obwieszone lampjonami, strojne, kokietyryjnie wyużdane. Ulica pławi się w wielkim, nie znajdującym porównania szaleństwie.

Jul — Boże narodzenie, Nytaar — Nowy Rok.

Ktoś ostrożnie zamknął drzwi od Europy, ktoś inny przezornie spuścił rolety u okien. Niech sobie wielki świat robi co chce, niech się bawi w polityki, niech się wzajemnie powyrzyną.

Kopenhaga obchodzi Boże Narodzenie, święci Nowy Rok i nie pozwoli sobie przeszkodzić. Iluminowane ulice, wieńce, płonąca choinka, oszalałe z radości, syte tłumy, zachłystujące się sobą, niczem potop przelewające się z ulicy w ulicę...

Pada śnieg. Pierwszy, nikły, nietrwały.

Rozdeptany, już za życia czarny — ginie szybko, by ustąpić miejsca kapryśnym wiatrom. O, bo Kopenhaga posiada wiele wymarzonych kryjówek dla tych urwisów. Schowa się jeden wiatr za kopułą Marmurowego Kościoła, a już ten drugi, od Angielskiego donośnym wykiem zdradza miejsce kryjówki i dalej gonić się między setkami wież, które zda się tylko po to w Kopenhadze wybudowano. I gonią się

wiatry. Jeden przyniesie deszcz, a drugi w tej samej chwili słońcem go straszy.

Jeszcze płaczą asfalty — ściekają ostatnie strugi z dachów, nie obeschły jeszcze lzy na szybach, a już z okien kwiaciarni śmieją się filuternie kaczeńce, konwalje, tulipany...

I nie wiadomo, które z nich są piękniejsze — może właśnie tulipany, te bardziej krwiste, wysmukłe, albo te blade, herbaciane, czy dostojne lila, czy może nieśmiałe fijołki... Za 20 orów niesie się do domu owiniętą w bibułę, drżącą wiosnę. Jeszcze bladą, słabą, ale już uśmiechniętą... Grozi jeszcze zimny lutowy wiatr, cztery razy dziennie pada deszcz, ale to już specjalnie „na zamówienie“.

Kopenhaga musi się umyć na przyjęcie wiosennych i letnich gości, lśnić wszystkimi wieżami, wabić i kokietować.

Śpi jeszcze swawolne Tivoli, sennie drzemie Klampenborg, zamknięte są jeszcze wesołe kawiarrenki na Frederiksberg Allé. — Ożyją, gdy słońce nabierze więcej życia, a świat wokół — rumieńców...

Tylko nic już nie zmieni twojego wyrazu twarzy, Maleńka Pani w kopenhaskim porcie... Sama w nocy, wypatrujesz tęsknie w dal, gdzie nie sięgają światła latarni.

Jakiś pirat z Hawaj czy z wysp Koralowych zabrał ze sobą twoje serce... I czekasz... I wierzysz, że wróci...

Jak to dobrze móc tak latami czekać, ufnie, niezmieniona, młoda.



*Staremu listonoszowi, objeżdżającemu na
rowerze miasto, ulice wydają się o wiele
krótsze niż wczoraj...*

WIEŚ NASTRAJA LIRYCZNIE

RYSUNKI MAŁGORZATY WAJCHTÓWNY



„Oj on powraca już“...



Miłość centaury



Jaś i Małgosia



Sylfida i kredensowy Feluś



Dudni miłość dudni, koło wiejskiej studni



„Ach czemu seercu smutno“...

URLOP HUBERTA GARDY

POWIEŚĆ

— Dobrze, załatwię go, jak przyjdzie.

— To jedna sprawa. Teraz druga, dotycząca pani osobiście. Mianowicie chcę zaproponować opuszczenie na pewien czas majątku. Wyjedzie sobie pani do jakiejś miejscowości kuracyjnej pod pretekstem uspokojenia nerwów po przebytych wstrząsach.

— Ja — dlaczego...? — zdziwienie jej nie było mniejsze od mego.

— Trudno mi jest teraz mówić o powodach tej propozycji. Nadmienię tylko, że ułatwi mi to w znacznym stopniu pracę na tutejszym terenie.

— Ułatwi panu pracę...? — zdumiała się. — Nie nie rozumiem.

— Zrozumię pani później, jak zakończymy tę całą historję. Powiedziałem już, że więcej nie mogę powiedzieć.

— Skoro pan nie może mi powiedzieć, to nie myślę stąd wyjeżdżać.

— Jak pani sobie życzy — odparł Hubert. Był widocznie niezadowolony.

Co miały znaczyć jego słowa? czyżby i dziewczynie miało grozić niebezpieczeństwo?

Na tę myśl przeszedł mię przykry dreszcz. Tego by jeszcze brakowało.

— Może jednak dasz się przekonać Janeczko — zabrałem głos. Nie wiem jakimi pobudkami kieruje się Hubert, ale musi mieć do tego napewno poważne powody. Sądję, że w miarę możliwości powinniśmy ułatwić mu pracę, a nie utrudniać.

— Och, ja wiem, że macie rację! — rzuciła nerwowo. — Ale taki wyjazd zrobiłby na mnie wrażenie ucieczki. Domyślam się, że spodziewacie się jakichś przełomowych zdarzeń i dlatego chcecie mnie usunąć!

— Mniej więcej tak — odezwał się Hubert. Nie będzie to jednak ucieczka, gdyż pozostając, tak czy tak nie weźmie pani udziału w rozgrywce, o ile ta nastąpi. Jak zaznaczył Jerzy, pani obecność w znacznej mierze utrudni nam swobodę ruchów. Proszę wybaczyć mi szczerość — zakończył trochę ciepłej, gdyż uwagi swoje wypowiadał suchym, rzeczowym tonem.

— Pozwólcie, że się namyszę — zawahała się — jutro dam wam odpowiedź.

— Dobrze — zgodził się Hubert.

Nie przypuszczaliśmy jednak, jak tragiczne następstwa wywoła ta zwłoka.

Za godzinę pełnił już funkcje nowy służący. Spotkałem go na korytarzu piętra i z powodu panującego mroku, nie mogłem dokładnie rozpoznać jego twarzy.

Spostrzegłem jednak, że był to drobny, zasuszony człowieczek, lat około czterdziestu, o sprężystym kroku i szybkich, zwinnych ruchach. Ukłonił mi się w przejściu.

Mijając go, spostrzegłem szybkie, lustrujące spojrzenie jego trochę skośnych oczu, upodabniających go do chińczyka. Znikł zaraz bezszelestnie, jak gdyby rozplywając się w powietrzu.

W kwadrans potem, zdarzył się nowy wypadek.

Zszedłem właśnie na dół z zamiarem odszukania Gardy i znalazłem go na ganku, rozmawiającego z Janką i Malczykową. Chcąc przyłączyć się do ich towarzystwa, cofnąłem się do domu, by przynieść sobie krzesło.

W holu, nieoczekiwanie natknąłem się na Chmurę. Wyszedł z drzwi gabinetu.

Z powodu nadchodzącego wieczoru i panującego już półmroku nie od razu spostrzegłem co się stało. Uderzyła mię przede wszystkim jego niezwykła bladeść, a gdy podszedł bliżej, spostrzegłem dopiero że trzyma się za lewy bok. Z pomiędzy palców kurczowo przyciśniętej ręki, sączyła się krew.

— Co się panu stało?! — krzyknąłem przerażony.

— Otrzymałem uderzenie, nic wielkiego — mówił z trudem — proszę nie robić alarmu.

Garda musiał jednak usłyszeć mój okrzyk, gdyż znalazł się raptem przy nas. Jeden rzut oka zorjentował go w sytuacji.

— Czy rana poważna? — spytał szybko.

— Nie... bodaj że powierzchowna, — odparł Chmura, mimo tego zapewnienia jednak, twarz wykrzywił mu grymas bólu.

— Gdzie to się stało?

— W bibliotece...

— Zaraz zrobią panu opatrunek. Odłożymy dalsze pytania od tego czasu.

Rana istotnie nie musiała być głęboka, gdyż Chmura o własnych siłach począł wspinać się po schodach. Zostawiliśmy go pod opieką Malczykowej i Janki, a sami przeszli do biblioteki.

Pokój nie zdradzał niczem, że odbyła się tu jakaś walka. Jeśli i miała miejsce, to jedynym jej znakiem był odsunięty daleko od stolika fotel i leżący na podłodze wazon z kwiatami. Kwiaty były rozsypane, a woda ciemną plamą rozlała się po dywanie.

Ponieważ zapadł już zmrok, Garda wyjął z kieszeni elektryczną lampkę i w jej świetle uważnie obejrzał parapet otwartego okna, a następnie, wychyliwszy się półciałem na zewnątrz, ścieżkę przy domu.

Nie zdradzając ani słowem wyniku lustracji, cofnął się zaraz wgłąb pokoju. Światło lampki zatoczyło łuk i snuło się jasnym kołem po podłodze, szperało po kątach, pod fotelami i stołem.

Nigdzie nie było widać żadnych śladów. Do tego samego wniosku musiał dojść i Hubert, gdyż słyszałem jak mruknął:

— Hm... ciekawe...

Badając w dalszym ciągu pokój, skierował promień latarki w róg, jaki tworzyła szafa ze ścianą. Stał tam wysoki stojak zakończony u góry brązową statua. U jednej z jego nóg spostrzegliśmy leżący nóż. Ostrze jego lśniło migotliwie na tle białego koła światła.

Hubert schylił się i ujawszy go ostrożnie dwoma palcami za klingę, uniósł do góry. Poznałem myśliw-

ski kordelas od którego zginął Piotr i machinalnie pobiegłem ku miejscu, gdzie powinien był wisieć. Miejsce to było puste.

— Patrz Hub... — wskazałem mu brak drugiego noża.

— Tak, tamten jest taki sam.

— Zaczyna być coraz goręcej — mruknąłem.

— Obawiam się, by nie było gorzej. Chodź, nie mamy tu już nic więcej do roboty.

Znaleźliśmy Chmurę w jego pokoju. Opatrunek właśnie był skończony i służąca zabierała resztę bandażi i miednicę z wodą zabarwioną na czerwono.

— Jak się pan czuje? — spytał go Hubert.

— Trochę mi słabo, ale pozatem nic więcej.

— Piec zacznie później. Co wykazało bliższe badanie? Poważna rana?

— Nie, nóż którym mnie uderzono ześlizgnął się po żebrze, rozdzierając ciało na przestrzeni kilku centymetrów. To wszystko.

Garda wziął do rąk wiszącą na krześle marynarkę i oglądał przez pewien czas rozdarcie.

— Upiekło się panu, co? — rzekł odkładając ją na miejsce.

— Chyba tak. Mogło być gorzej.

— Przepraszam teraz panią — zwrócił się do Malczykowej, — gdyż muszę przeprowadzić z panem Zygmuntem mały wywiad.

— Czy ja nie mogę słuchać? Też jestem ciekawa jak się to stało! — rzuciła jak zwykle zadzierzyscie, pani Aniela.

Garda zastanawiał się przez chwilę.

— Jeżeli pani na tem tak zależy — rzekł wreszcie — to proszę. Ostatecznie nie chyba w opowiadaniu pana Chmury nie będzie takiego, co by mogło stanowić tajemnicę śledztwa. Proszę więc nam opowiedzieć — zwrócił się do leżącego na łóżku Chmury — jak się to stało?

— Siedziałem w bibliotece — rozpoczął zagadnięty — i przeglądałem nadeszłe czasopisma. W pewnej chwili zainteresował mnie pewien artykuł, zagłębiłem się przeto w jego treść, nie zwracając oczywiście żadnej uwagi na otoczenie.

Byłem odwrócony tyłem do otwartego okna; — nie przypuszczałem przecież że może mi grozić jakieś niebezpieczeństwo... Któż mógł spodziewać się czegoś podobnego! W pewnym momencie jakiś cień

prysłonił mi czytaną stronicę. Odwróciłem głowę zdziwiony, co to mogło znaczyć?...

W tej chwili właśnie, napastnik wskakiwał przez otwarte okno do pokoju. Zerwałem się raptownie z fotela, a on rzucił się na mnie z nożem w rękę.

Chciał zadać mi uderzenie w pierś, odbiłem mu jednak rękę i cios chybił, rozdzierając mi bok. Zaczęliśmy się ze sobą szamotać i w trakcie tego udało mi się wybić mu broń z ręki. Widząc się bezbronnym i obawiając się zapewne nadejścia kogoś z domowników, rzucił się do ucieczki...

Hubert przysłuchiwał się temu opowiadaniu z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

— Którędy uciekł? — spytał, gdy tamten skończył.

— Wyślizgnął się przez salon, na werandę, gdyż tak się złożyło, że odgradziłem go od okna.

— Jak wygląda? Czy zna go pan?

— Nie, nie znam. Rysów twarzy w czasie walki nie zdążyłem dokładnie zaobserwować. Uprzytamniałem sobie jednak, że była to kwadratowa, ordynarna twarz, z krótkim grubym nosem. Był niski, dużo niższy odemnie, ale tęższy. Odznaczał się dużą siłą — dziwię się teraz jak potrafiłem go rozbroić... Widocznie przerażenie wzmogło sprawność moich mięśni.

Słuchając tego opowiadania, przypomniał mi się mój nocny przeciwnik. Nie ulegało wątpliwości że był to jeden i ten sam osobnik.

Czem jednak powodował się, urządzając ten szereg napadów? Czyżbyśmy mieli do czynienia z wariatem? Skąd wziął nóż? Chmura nic nie wspomniał że tamten zdjął go ze ściany. Czyżby ukradł go zawczasu, z zamiarem odłożenia go po zabójstwie, jak to miało miejsce z Piotrem?

Spojrzałem na Huberta, ciekaw czy przyjdą mu do głowy te same problemy?

Garda siedział jednak na krześle przy łóżku rannego z lekko pochyloną głową, jakgdyby całą uwagę pochłonęło mu oglądanie wzoru rozłożonego obok dywanika.

Po chwili dopiero wyprostował się, przenosząc wzrok na rannego.

— Czemu nie przywołał pan pomocy? Znajdowaliśmy się wówczas z panem Wydumą o parę kroków i niewątpliwie zdołalibyśmy ująć napastnika.

— Kto wie czy wówczas nie dało by się od razu rozwiązać tajemnicy całej tej historii? — wtrąciłem.



Magazyny detaliczne
Nowy - świat 40, Marszałkowska 102,
Chmielna 33, Marszałkowska 56 i 154



— Pyta pan czemu nie wołałem pomocy? — powtórzył Chmura jakgdyby w zamyśleniu. — Mogę na to udzielić odpowiedzi, chociaż nie wiem czy wyda się ona panu dostatecznym wyjaśnieniem. Otóż poprostu — wstydziłem się... Wstydziłem się wołania o pomoc, mając przed sobą tylko jednego przeciwnika.

— Zupełnie pana rozumiem — odparł Garda — lecz ambicja w tym wypadku nie powinna była grać roli. Chodziło przecież o to, by napastnik został ujęty, a nie o samą pomoc w obronie.

— Ta strona sytuacji nie przyszła mi do głowy. Nie miałem zresztą czasu na rozważania.

— Oczywiście. Teraz jeszcze jeden szczegół który chciałbym wyjaśnić. Zauważyliśmy mianowicie brak jednego z myśliwskich noży na ścianie w bibliotece. Czy nie był to ten nóż, którym morderca chciał pana uderzyć?

— Tego nie wiem. Jak zaznaczyłem, wytrąciłem mu broń z ręki, ale jej nie widziałem. Czy panowie go znaleźli? Można byłoby łatwo to sprawdzić, gdyż wisi tam drugi, podobny.

— Owszem, znaleźliśmy go — oświadczył krótko Hubert.

— No i?...

— Jest taki sam jak tamten. Chodziło mi jednak o to czy zdejmował go przy panu ze ściany. Bo jeżeli nie, dowodziłoby to, że uzbroił się weń zawczasu. Jest to bardzo ważny szczegół, dowodzący w tym wypadku, że napastnik krąży po domu.

— Na zerwanie go ze ściany nie miał czasu, gdyż jak zaznaczyłem, odwróciłem się w chwili kiedy zeskakiwał z parapetu okna. Rzucił się odrazu na mnie, już uzbrojony.

— Jak był ubrany?

— W ciemne marynarkowe ubranie, w kolorowej koszuli bez kołnierzyka, rozchylonej pod szyją... Te szczegóły wbiły mi się w pamięć mimowoli. Pozatem przypominam sobie że miał opaloną cerę i był nieogolony.

— Nie zauważył pan jakichś znaków szczególnych?

— Nie.

Malczykowa zajęła jedno z dalszych krzeseł na którym siedziała dotąd, przysłuchując się badaniu. Przerwała teraz pytania Huberta, okrzykiem:

— Nie będę miała teraz ani chwili spokoju! — złapała się rękami za skronie. — Co się tu dzieje!... Boże... Boże...

(D. c. n.).

DYREKTOR STANISŁAW SOBOTA

Syn naszej prastarej ziemi Polskiej p. Stanisław Sobota, zdając sobie jasno sprawę z doniosłości pracy na polu naszego życia gospodarczo-społecznego, poświęcił się z całym zapalem działalności na tem polu. W tej dziedzinie odznaczył się na stanowisku kierownika dyrekcji rzeźni w Katowicach, na którym przetrwał przez 12 lat. Powołany na stanowisko dyrektora rzeźni miejskiej w Warszawie zaznaczył się w tak stosunkowo krótkim czasie swej pracy wybitną znajomością techniki tego tak trud-



*Dyrektor rzeźni miejskiej
Stanisław Sobota*

nego i odpowiedzialnego zadania, dbałością o dobro instytucji, na której czele został postawiony, jak również troską o zapewnieniu bytu szeregu pracowników rzeźni. Ten sposób prowadzenia powierzonej mu placówki o tak doniosłym znaczeniu stanowi zapowiedź, że pod Jego dalszymi rządami na terenie rzeźni nastąpi uzdrowienie stosunków panujących na rynku mięsnym i udostępni korzystanie z tego niezbędnego artykułu odżywczego szerokim masom potrzebującym.

Jednem słowem daj nam Boże jaknajwięcej pracowników takich na polu naszego życia gospodarczo-społecznego.

S. L.



ODPOWIEDNI PUDEK

oto tajemnica świeżej,
młodzieńczej cery,
Subtelny, niewidoczny,
dobrany do karnacji,
a przy tym roślinny
i nieszkodliwy — oto
zalety, jakie posiada

**PUDEK
ABARID**

ŚWIAT TEATRU

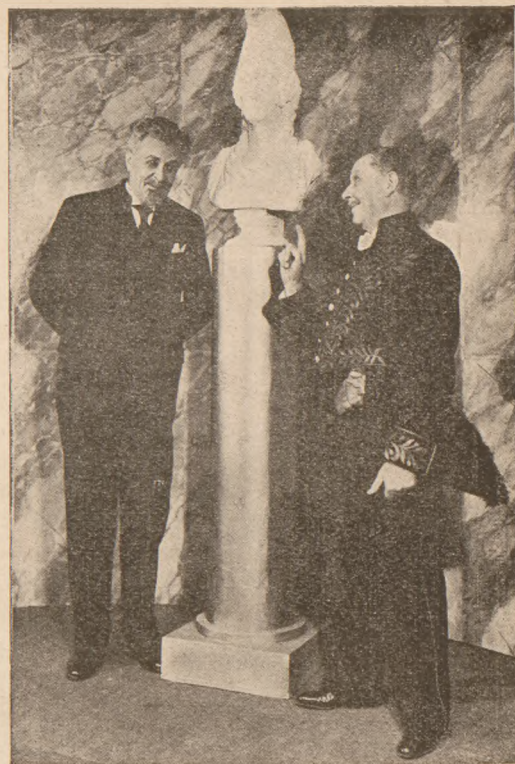
W komedji „Zielony frak“, granej z wielkiem powodzeniem w teatrze Narodowym: Krzewiński i Stanisławski celują w subtelnej nieco melancholijnej ironji dwóch starszych panów z nad Sekwany. Mają smutek i finezję. Są zabawni i pociągający, w miarę śmieszni, w miarę mili.



Z rekordowem wprost powodzeniem grana jest w teatrze Letnim farsa Hennequin'a p. t. „On i jego sobowtór“.

Publiczność każdego wieczoru szczerze wypełnia widownię, co w tak zw. sezonie „ogórkowym“ jest pewnego rodzaju rekordem.

Treść lekka i bardzo dowcipne sytuacje powodują głośne wybuchy śmiechu, doskonale bawiącej się publiczności.



W znakomicie zgranym zespole, pod reżyserją Kaz. Szuberta, wyróżniają się grą panie: Tatarkiewicz - Woskowska, Bukojemska, Jakubińska, a z panów: Śliwiński, odtwórca głównej roli oraz reżyser Szubert, który mu dzielnie sekunduje.

Zamieszczamy poniżej kilka scen z tej zabawnej komedji:



Oto: z lewej strony Śliwiński w podwójnej osobie czyli on i jego sobowtór. Niżej scena zbiorowa z Bukojemską, Szubertem i Śliwińskim, a po prawej utalentowana artystka p. Jakubińska uśmiecha się zapewne do kogoś bardzo miłego.

fot. J. Malarski

DZIEJE TEATRU W POLSCE

§ 53. Bez pozwolenia Dyrektora niema miejsca przerabianie sukien, zmienianie ozdób lub przenoszenie ich z jednego do drugiego ubioru.

§ 54. Aktor lub Aktorka winni są natychmiast oddać teatralne suknie, skoro rola do której rzeczony suknie są przeznaczone, przestaje do nich należeć lub skoro tego zażąda Dyrektor Teatru.

§ 55. Potrzeba zmiany, poprawy, odnowienia, lub wcale nowego sprawienia winna być przekładana natychmiast po odegraniu ostatniej roli. Inaczej osoby mające u siebie teatralne ubiory, nie będą się mogły dla tej przyczyny od grania sztuki wymawiać.

Oddział VII.

Publiczne wystawienie dzieła.

§ 56. Widowisko zaczyna się o godzinie affiszami oznaczony, poprzedza je symfonia lub uwertura.

§ 57. Niemniej godziną przed zaczęciem widowiska, wszyscy Artyści wchodzący do sztuki w garderobach teatralnych znajdować się powinni.

§ 58. Na miejscach także swoich obowiązani są znajdować się, Dyrektor Teatru lub jego zastępca, Dyrektor muzyki lub orkiestry, Artyści składający Orkiestrę i wszyscy ludzie do służby scenicznej potrzebni.

§ 59. Aktorowie i Aktorki zastać powinni przygotowane dla siebie to wszystko, co im do ról które gra-

ją z garderoby i innych składów teatralnych ma być dostawione.

§ 60. Przed wystawieniem każdej, nowej sztuki, gdy rodzaj dzieła tego wymaga, staraniem będzie Dyrektora ułożyć informacją obejmującą cały ciąg widowiska. Osobny w tym celu wyznaczony przez Dyrektora dozorca, pilnować będzie ścisłego wykonania takowej informacji mianowicie co do osób, nie Aktorów.

§ 61. Gdyby dla jakiej ważnej przyczyny sztuka, o naznaczonej godzinie zaczęta być nie mogła, orkiestra muzykę przedłuży. Jeżeli zwłoka obudzi nieukontentowanie publiczne, a dziesięć minut spóźnienia upłynie, jeden z Artystów wyznaczony od Dyrektora uda się przed zasłonę i przepraszając widzów, przyczynę spóźnienia lub zmianę sztuki oznajmi.

§ 62. W Operach Dyrektor muzyki nie wprzód zacznie uwerturę aż po danym sobie znaku, przez utrzymującego dzienny porządek.

§ 63. Aktor spóźniający się, ulega karom urzędzeniami policyjnymi w tej mierze przepisany.

§ 64. Przerwy między aktami, równie jak między sztukami, jednego wieczora wystawianemi, piętnaście minut przechodzić nie powinny, wyjąwszy gdy zachodzą wielkie zmiany dekoracyi lub ubiorów.

§ 65. Całe widowisko trwać winno trzy godziny, a przynajmniej półtrzeciej.

§ 66. Przydawanie z własnej myśli bądź słownych bądź jestowych wyrażeń równie jak opuszczanie, bez usprawiedliwionej przyczyny śpiewu w operach, pociąga za sobą karę od 6 do 36 złotych na fundusz wysłużonych.

§ 67. Powtórzeniom, od publiczności żądanym, Artyści winni z powolnością zadosyć uczynić.

§ 68. Zapowiadanie po skończonym widowisku przyszłej reprezentacyi, równie jak czynienie wszelkich do publiczności przełożeń, jakie Dyrektor Teatru potrzebnymi uzna, należy ciągle do Aktora grającego rolę kochanków. Dyrektor jednak Teatru może ten obowiązek innemu Artyście poruczyć, a żaden od niego wymawiać się nie będzie.

§ 69. Aktor w nagrodę swego talentu od publiczności wezwany zadosyć jej woli uczyni w stawieniu się przed nią, wezwaney Aktorce towarzyszyć będzie jeden z Artystów i nie może Aktorki opuścić i ze sceny ustąpić, póki kurtyna nie zapadnie.

§ 70. Wszelkie ubliżenie porządkowi przez niewłaściwe, mylne, lub spóźnione wyjście na scenę, przez nieumienie roli lub omyłkę w dyalogu, słowem wszelkie przestąpienie powyższych przepisów podlega karze od 6 do 36 Złotych na fundusz wysłużonych, wedle szczególnego na każdy przypadek rozporządzenia Dyrekcyi Teatrów.

§ 71. Krytyczne postrzeżenia Dyrekcyi nad wystawianiem scenicznym dzieł teatralnych odczytane będą w celu sprostowania uchybień i zawieszane w miejscu gdzieby od wszystkich Artystów i Artystek czytane być mogły.



Karasiński w komedji: „Dobre wychowanie”.

Oddział VIII.

Dyrektor muzyki.

§ 72. Dyrektor muzyki kieruje nauką i wystawieniem Oper w części Muzycznej.

§ 73. Do niego należy prowadzić repetycje tak szczególne jak ogólne w Operach, które jego kierunkowi poruczone będą.

§ 74. On przestrzega dokładności w wykonaniu Oper tak ze strony śpiewaków, jak ze strony Członków Orkiestry, niemniej chórzystów i wszelkie w tej mierze uchybienia za pośrednictwem Dyrektora Teatru, donosi Dyrekta Teatrów.

§ 75. Dyrektor Muzyki mieć będzie szczególny dozór nad Artystami składającymi orkiestrę Teatru, co do wypełnienia ich obowiązków kontroli obecności i wypłat.

§ 76. Do niego również należeć będzie oznaczyć, jakie dzieła muzyczne, w czasie przerw sztuki grane być mają.

§ 77. Dyrektor Muzyki, mając sobie przez Dyrektora Teatru oddaną operę obowiązany jest: Dane sobie do tejże Opery, jeżeli jest z obcego języka tłumaczoną, słowa podłożyć, zastosować rolę do głosu i usposobienia w śpiewie Artysty; mieć bacność nad poprawnem przepisaniem ról muzycznych i części orkiestrowych. Trudnić się ciągle zupełną tejże oprey nauką, stosownie do oznaczonego czasu w art. 17 ustaw niniejszych i równie na próbach jak w reprezentacji prowadzić orkiestrę.

§ 78. Dyrektor Muzyki oprócz prób i repetycji ogólnych z Oper i chórów jakie na każdy dzień oznaczone będą, obowiązany jest przynajmniej trzy godziny w tygodniu dawać prywatne lekcye śpiewakom w rolach, które im powierzone będą.

§ 79. Dyrektor Muzyki sam kieruje orkiestrą we wszystkich wystawieniach Oper, i stawa sam na jej czele we wszystkich sztukach w które wchodzi jakiegokolwiek śpiewanie Aktorów lub chórów. Sam nakoniec prowadzić orkiestrę w wykonaniu większych symfonji.

§ 80. Artyści muzyczni obowiązani są znajdować się na miejscach swoich w czasie reprezentacji, równie jak na próbach, które zapowiedziane im będą. W tym celu najmniej kwadrans przed zaczęciem widowiska lub próby, do orkiestry teatralnej przybyć powinni.



Majewski w roli Jana,
w komedji: „Wuj i Siostrzeniec“.

§ 81. Przygotowani będą zawczasu, unikając ile możności długiego i kolejnego strojenia instrumentów, zacząć uwerturę natychmiast za danym sobie znakiem ze sceny.

§ 82. Po każdym skończonym akcie, jeżeli Teatr nie Operę wystawia, muzyka natychmiast zacząć powinna razem z upadnięciem zasłony, lub z końcem aktu.

§ 83. Członki orkiestry nie mogą opuszczać miejsc swoich podczas aktów w reprezentacji tragedji lub komedji, pozostaną także na miejscach przez ostatni akt, aż do upadnięcia zasłony.

§ 84. Żaden artysta muzyczny nie może wprowadzić z sobą do przedziału orkiestry obcej osoby.

§ 85. Każdy pierwszy instrument, najmniej raz w rok obowiązany jest dać słyszeć publiczności w wykonaniu dzieła przez siebie obranego.

§ 86. Przy repetycji jeneralnej oper mniejszych, orkiestra odbywać będzie próby z symfonii lub sztuk muzycznych w których szczególni Artyści popisywać się zechcą.

(D. c. n.).

Ulgowe kupony „Świata” do Teatrów Niezależnych

Teatr Malickiej

pod dyr. Z. Sawana
Karowa 18. Tel. 5-29-99

KUPON „ŚWIATA”

ważny od 5. VIII do 11. VIII
upoważniający do nabycia 2-ch biletów
ulgowych

z 40% zniżką

ważny codziennie o 8-ej (również w soboty i święta) a w niedzielę nadto o 4-ej ppł. w kasie teatru cały dzień bez przerwy od 11-ej rano do 8-ej w.

Teatr „8.15” Śniadeckich 5
Tel. 7-00-26

KUPON „ŚWIATA”

ważny od 5. VIII do 11. VIII
upoważniający do nabycia 2-ch biletów
ulgowych

z 40% zniżką

(prócz sobót i świąt) w kasie teatru
od 11 — 2 i od 5-ej ppł.
do 8-ej w. na wszystkie miejsca

PROSZKI
MIGREND-NEUROSIN

Kogutek

ZASTOSOWANIE:
**GRYPA, PRZEZIEBIENIE
BÓLE GŁOWY, ZĘBÓW i t.p.**

Żądacie oryginalnych proszków ze zn. fabr. „KOGUTEK”
GASECKIEGO
tylko w opakowaniu higienicznym w TOREBKACH



Tytuł i nazwiska bohaterów filmu, którego scenę zamieszczamy, pozostawiamy domyślności naszym czytelnikom.

PRZYPOMNIJMY SOBIE STARE FILMY.

Oto wezwanie jakie rzuciliśmy na łamach naszego tygodnika, a które znalazło żywy oddźwięk wśród licznych rzesz czytelników. Zamieszczamy dzisiaj jedną z najbardziej napisanych „wspomnień” z filmu granego przed rokiem w Warszawie, znanego zapewne naszym czytelnikom. Redakcja.

Najzwyklejsze zdarzenia osnute mgłą tęsknoty wydają się nam pełne poezji... Przychodzą takie chwile, właśnie teraz, na wakacjach, kiedy jesteśmy daleko od miasta, gdy wokoło nas jest spokój, cisza, brzęczenie aksamitnych bąków i złotych pszczoł i mocny, słodki zapach polnych kwiatów. Leżymy na słońcu i staramy się nie myśleć o niczym. Pod powiekami



REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, Nowy Świat 26. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755

Lista rozrachunkowa urzędu pocztowego Nr. 39.

Administracja otwarta codziennie z wyjątkiem świąt, niedziel od godziny 11 do 3 pp.

Redakcja we czwartki, piątki i soboty od godziny 10 — 13 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp. tylko po uprzednim porozumieniu się z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. Rękopisów Redakcja nie zwraca.

WARUNKI PRENUMERATY: Odb. na miejscu miesięcznie zł. 5.—. Kw. zł. 13.50 gr., z odnosz. do domu mies. zł. 5.50 gr. kw. zł. 15.—. Zamiejscowa mies. zł. 6.—, kw. zł. 16.20 gr. Zagraniczna mies. zł. 8.—, kw. zł. 21.60 gr.

Każdy prenumerator otrzymuje co miesiąc cenne premium książkowe wartości księgarskiej 5 do 6 zł.

ŚWIAT

xon... te nazwiska nie istnieją teraz, gdy pełni zachwyty wpatrujemy się w srebrną bajkę, w dawne czasy, w żywych, prawdziwych ludzi, którzy cierpią, kochają i płaczą...

Kręci się taśma wspomnień. To było dawno, ale niektóre sceny mocno utkwiły w pamięci i wystarczy przymrużyć oczy, aby zobaczyć jeszcze raz historię miłości, zwycięstwa i śmierci, zamkniętą, jak kłamrą kosztowną, najpiękniejszym zdjęciem:

...morze, wspaniały okręt i smukła postać Kleopatry w faldzistym, aksamitnym płaszczu i złotym kasku. Przesmutne oczy, w których Antonjusz ujrzał ucieka-



Katarzyna Hepburn w wspaniałej kreacji w nowym filmie „Holidy”

FILMU

jące okręty, zasnuwają się łzami a potem gasną w wiecznym mroku...

W złocisty, przesycony słońcem lipcowy dzień, z zapachem miodu i kwiatów, z poszumem wiatru powróciło do mnie wspomnienie o najpiękniejszym filmie: „Kleopatra”.

Krystyna Chruścińska
(Łódź).

CZY EUGENJUSZ BODO JEST PROTOTYPEM BOHATERA „STRACHÓW” MARJI UKNIEWSKIEJ?

Przeróbka filmowa głośnej powieści Marji Ukniewskiej p. t. „Strachy”, podjęta przez Spółdzielnię Autorów Filmowych, powieści, która stała się przedmiotem gorących sporów i fantastycznych domniemań na temat podobno z życia wziętych bohaterów — rozogniła jeszcze bardziej



i tak łatwo zapalną atmosferę naszego świata aktorskiego.

Tym więc silniejszy posmak sensacji przynosi wiadomość, że Eugenjusz Bodo objął rolę Zygmunta Modeckiego, bohatera „Strachów”, którego fama identyfikuje z... nim samym...



Niedługo na ekranie kina Palladium ukaże się film wytw. R. K. O. Radio p. t. „Radość życia”. Role główne kreują Irene Dunne i Douglas Fairbanks jr.

Nasze zdjęcia przedstawiają tę wiosenną parę w pełnym wdzięku „tête a tête”.

— Jak to się stało, że pan zgodził się właśnie na tę rolę? — pytamy znakomitego gwiazdora — przecież krążą pogłoski, że...

— Wiem, wiem — przerywa Bodo — znam domysły na temat mej identyczności z postacią Modeckiego. Są oparte na tym, że występowałem w teatrach rewjowych w okresie, w którym rozgrywa się akcja powieści. Muszę przyznać, że środowisko zostało trafnie i szczerze scharakteryzowane. Odnajduję wprawdzie w niektórych postaciach poszczególnie typy znanych mi osób, ale każda z nich jest raczej zlepkiem cech kilku autentycznych jednostek. Więc i w Modeckim możnaby znaleźć chyba coś także i ze mnie, ale kryją się w nim również cechy kilku innych moich kolegów. Tak samo i Teresa jest właściwie połączeniem niemal wszystkich właściwości przeciętnej „girl”.

Wracając do roli Modeckiego, chciałbym podkreślić, że objąłem ją, ponieważ odpowiada moim ambicjom aktorskim, ponieważ widzę w niej olbrzymią skalę wyrazu dramatycznego, ponieważ, wreszcie, daje duże pole do popisu aktorskiego. Pozatem ogromnie mnie interesuje współpraca przy realizacji tak ciekawego i oryginalnego tematu filmowego, jakim są „Strachy” — prawdziwa opowieść o blaskach i cieniach zawodu aktorskiego wogóle, a w szczególności o życiu „girls”, tych pionków



Przy
HEMOROIDACH
 (KRWAWIENIE, SWĘDZENIE, PIECZENIE, BÓLE)
CZOPKI i MASŁO
VARICOL
 GAŚECKIEGO
do nabycia w każdej aptece

Przy swędzeniu ciała
 i wyrzutach skórnych
 stosuje się
KREM „LAIN”
GAŚECKIEGO
 preparat usuwający
 wady naskórka tak u
 dorosłych jak i u dzieci

**POWIETRZE
 SŁOŃCE
 WODA**
KREM
podzienny
CHERYS

Polska
 FARBA DO
 WŁOSÓW
 ODSIWIACZ
Psyche
 GAŚECKIEGO *z kocięciem*
*firne włosy są oznaką stałości,
 brońmy się przed wyglądem starszym*



*Gimnastyka ranna, zapewnia humor na cały dzień!
 Oto hasło jakie rzuca uroczą gwiazdą Hollywood, z
 pałem ćwicząc przysiadu.*

NOWINKI FILMOWE Z LITWY.

Normalizacja stosunków polsko - litewskich pozwala zorientować się w sytuacji rynku filmowego litewskiego i upodobaniach publiczności litewskiej. Popularny dziennik „Lietuvos Zinios“ urządził w Kownie ankietę z zapytaniami:

A) Jakie są najlepsze dwa filmy sezonu?

B) Jakie są najsłynniejsze i najpopularniejsze gwiazdy filmowe?

Wyniki ankiety były następujące:

A) „Ziemia Błogosławiona“, „Gdy kwitną bzy“.

B) Jeanette MacDonald i Robert Taylor.

Zwyciężyły więc filmy i gwiazdy a-

merykańskie. Charakterystyczne jest, że tak wymienione filmy, jak i gwiazdy należą do wytwórni Metro - Goldwyn - Mayer.

COGNAC

MARTEAU

żądajcie OLLA-TROPIC!